

Teksty Drugie 2001, 1, s. 222-226



CENTRUM  
HUMANISTYKI  
CYFROWEJ

# **Szczeciński Zjazd-widmo i obrzeża socu**

Piotr Michałowski

## Piotr MICHAŁOWSKI

### Szczeciński Zjazd-widmo i obrzeża socu

O „socu” wiadomo już niemal wszystko, o Zjeździe szczecińskim znacznie mniej, a prawie nic – o jego powiązaniu z miejscem akcji. Szczecin jako scena wydarzenia, które wyznaczyło czarną cezurę w literaturze powojennej, pozostał w świadomości literaturoznawców niemal abstrakcyjnym punktem spoza mapy, referencją przypadkową i niekonieczną dla zrozumienia genezy wypadków. To paradoks, który należało jakoś przeświecić, przywracając hasłu pamięć geograficzną – nie tylko w celu kataraktycznego uwolnienia środowiska literackiego od niechcianego lokalnego dziedzictwa, toteż w szczecińskim Oddziale Stowarzyszenia Pisarzy Polskich narodził się pomysł nadrobienia tej zaległości poprzez ogólnopolską konferencję. Współ z Danutą Dąbrowską, specjalistką od romantyzmu i literatury podziemnej, podjąłem się tego zadania – początkowo bez entuzjazmu, gdyż po wysokiej fali publikacji w ostatnich latach temat wydawał się już bliski wyczerpania, pozostawiając zaledwie niedojedzone resztki.

Nadspodziewanie liczne zgłoszenia referatów, napływające z kraju i zagranicy, pośród których nie zabrakło wybitnych ekspertów od „socu” obok debiutantów, wskazały jednak na nieustające zainteresowanie przedmiotem badań, które bynajmniej nie zwiastuje prędkiego końca dyscypliny. Chociaż temat konferencji sformułowałem możliwie pojemnie: *Zjazd szczeciński i socrealizm – geneza, kontynuacje i konteksty*, to jednak najbardziej liczyłem na referaty dotyczące samego Zjazdu, a po cichu – i na relacje naocznych świadków. Ale te pierwsze okazały się zdecydowaną mniejszością, a drugich w ogóle zabrakło.

IV Zjazd ZZLP odbył się wprawdzie 20-22 stycznia 1949, a konferencję o nim udało się zaplanować dopiero na 20-22 listopada 2000, a więc jubileusz półwiecza został fatalnie przeoczony i szczytkowa symetria dat była tylko przypadkiem, ale bezzasadne wydawało się czekanie na okrągłą rocznicę. Zresztą, magiczne myślenie zerami zaznaczyło się i tak, choć inaczej, gdyż chodziło już jedynie o to, by rozliczenie z fatalną spuścizną zamknąć w starym tysiącleciu. Przedsięwzięcie opar-

## Michałowski Szczeciński Zjazd-widmo i obrzeża socu

liśmy na trzech instytucjach: SPP, Uniwersytecie Szczecińskim oraz Książnicy Pomorskiej, ale naszym przygotowaniom dodawały pikanterii pogłoski dochodzące z innych kręgów, które ujawniły zwolenników dawnego modelu życia literackiego i socjalistycznego mecenatu, a w podtekście – zapewne wstydliwie skrywane sympatie i dla samego „socu”. Nam, organizatorom, przypisywano nawet intencję „upamiętnienia Zjazdu”, choć takiej formuły w ogóle nie brałem pod uwagę. Z jednej strony, obawiałem się więc dywersji, a przynajmniej destrukcyjnego przeciwdziałania, z drugiej – ostrej akcji rozrachunkowej. Natomiast żywiłem cichą nadzieję na starcie poglądów, gdyż spór taki przerwałby nużący rytuał, za jaki można uznać praktykowane od dziesięciolecia ustawianie zjawiska przed nabyt zgodnym plutonem egzekucyjnym, procedurę, która powoduje pewne wyjałowienie poznawcze, a przede wszystkim wynika z milczącego założenia, iż o „socu” można mówić wyłącznie źle, a ponadto – jak o nieszczęsnym epizodzie, zamkniętym konwersją głównych protagonistów w czasie „odwilży” i bezpowrotnie przewalczonym zmasowaną samo- i krytyką. Zaczęłem nawet żałować, że dokonałem przedwczesnej autocenzury i stłumiłem pokusę, by w tytule konferencji, po „genezie”, „kontynuacjach” i „kontekstach” jeszcze dopisać prowokujące hasło: „perspektywy”. Ale było już za późno: kij niezbyt zaostrzony tkwił w mrowisku, nożyce cicho spoczywały na stole, tykała bomba nastawiona na poniedziałkowy poranek, a nabita strzelba wisiała na gwoździu...

Nic specjalnego jednak się nie wydarzyło; bomba nie eksplodowała, choć było pewne, że pośród zaproszonych gości wytrwale milczeli niedoszli apologety imprezy sprzed ćwierćwiecza. Nic też nie pozwalało mówić o „perspektywach” czy choćby próbach retrospektywnej apoteozy „socu”, choć szkoda, że w zestawie referatów dość skromny komentarz zyskały „kontynuacje” poetyki. Ciekawa faktografia wyjaśniła „genezę”, natomiast pośród referatowych interpretacji pierwszy plan zdecydowanie wypełniły najróżniejsze „konteksty”.

Próby rekonstrukcji przebiegu IV Zjazdu ZZLP doprowadziły do wniosków zgodnych, ale zaskakujących: wydarzenie postrzegane z perspektywy lat jako przełom, w świadomości roku 1949 rozmywa się i ginie pośród innych faktów, ocenianych jako donioślejsze: 25. rocznica śmierci Lenina (przypadająca 21 stycznia, a więc w drugim dniu obrad) czy obchody Roku Mickiewiczowskiego. Spośród zjawisk literackich na wydarzenie roku ponadto kreowano... książkową edycję poematu Tuwima, która ukazała się około 17 stycznia – o czym wygłosiłem referat „*Kwiaty polskie*” na torze ewolucji, analizując zbieżności i rozbieżności tej propozycji artystycznej, wyprzedzającej socrealizm i mającej ograniczone szanse na wchłonięcie przez wkrótce zadekretowany wzorzec. W hierarchii zjawisk politycznych tym bardziej Zjazd (planowany pierwotnie na rok 1948) zajmował miejsce podrzędne – jako zaledwie pierwsze ogniwo długiego łańcucha rozmaitych narad i konferencji branżowych, rozciągniętego między zjednoczeniem partii a kongresem związków zawodowych w czerwcu 1949. Owo tło wchłaniające fundament polskiego „socu” ciekawie oświetlił referat Mariusza Zawodniaka, który zaprezentował swoistą teorię narady – jako obrzędu stwarzającego pozór demokracji tam,

gdzie decyzje zostały już podjęte wcześniej, a przynajmniej – przezornie zaprogramowane przez kierownictwo Partii. Jednym z przykładów takiego rytuału była Narada Filmowa w Wiśle, którą omówił Piotr Zwierzchowski.

Niewielki status wydarzenia potwierdza faktografia zgromadzona przez Cecylię Judek, a zaprezentowana przez nią, prócz referatu, na okolicznościowej wystawie: pośród DZS-ów ślady przetrwały nieliczne i ekspozycja mająca dokumentować głównie Zjazd stała się w znacznej mierze obrazem jego tła: życia kulturalnego tamtego czasu, gdzie m.in. z pożółkłych afiszów spoglądają znane nazwiska bohaterów spotkań autorskich, poprzedzone obligatoryjnie egalitarnym skrótem „Ob.”. Pośród wielu smakowitych kuriozów, które jednak wydają się prostą konsekwencją obowiązującej aksjologii, znalazła się oficjalna ocena jednej z imprez towarzyszących Zjazdowi, wieczoru Jerzego Andrzejewskiego, która wykazała „niski poziom dyskusji” – w przeciwieństwie do spotkania w klubie pracowników wodociągów i kanalizacji, gdzie robotnicy czynili zwykle „trafne uwagi”.

Drugorzędność Zjazdu potwierdza zresztą ówczesna prasa, także literacka, i trudno przypuszczać, że chodzi o celową jego marginalizację; wydaje się, że początkowo został przez część środowiska po prostu niedoceniony lub zlekceważony w optymistycznym przeświadczeniu, że wcielenie doktryny nie będzie ani tak bezwzględne, ani tak dotkliwe. A pośród skąpych archiwaliów urzędowych do ciekawostek należy informacja wewnętrzna UW o tym, iż „ludność miejscowa, głównie zza Buga, jest na zbyt niskim poziomie, by mogła tak poważną naradę zorganizować”. To, co funkcjonuje dziś w skrócie myślowym jako „Zjazd szczeciński”, było więc tylko jednym z wielu zjazdów, który mógł się odbyć gdziekolwiek; a naddano mu z centralnego rozdzielnika topografię można uznać niemal za efekt losowania.

To, co się odbyło z udziałem około 114 osób (nasza konferencja gromadziła w porywach audytorium liczniejszej) w średniej wielkości sali WRN przy placu Niezłomnych 2 (później: Dzierżyńskiego, obecnie – Armii Krajowej), przeszło w znacznej mierze niezauważone. W przeciwieństwie do burzy i huraganu, jaki rozpętał się w Szczecinie rankiem drugiego dnia Zjazdu; można jednak przypuszczać, że i ta dywersja sił przyrody wymierzona była raczej w rocznicę śmierci Wodza rewolucji.

Oczywiście, socrealizm został zainstalowany głównie poprzez instytucje życia literackiego, sterowane przez ośrodki władzy, toteż nie sposób ich pominąć w refleksji nad oddziaływaniem doktryny; szkoda, że w zestawie referatów problematyka ta ograniczyła się tylko do dwu wystąpień polonistów zagranicznych: Doroty Tubielewicz Mattsson (Sztokholm), omawiającej przekrojowo działalność ówczesnej krytyki, i Johna Batesa (Glasgow), prezentującego szereg ciekawych uwag o działalności cenzury w okresie przemian opcji propagandowej w „kwestii niemieckiej”. Do tej grupy trzeba jeszcze zaliczyć omówienie repertuaru słuchowisk radiowych, obejmujących twórczość współczesną obok adaptowanej klasyki, zrealizowanych przez rozgłośnie szczecińską (Zbigniew Jarzębowski).

## Michałowski Szczeciński Zjazd-widmo i obrzeża socu

Pośród analizowanych tekstów znalazły się nieliczne przykłady perswazyjnego schematyzmu, reprezentowane zresztą głównie przez jego odmianę „użytkową”: *Krótki kurs WKP(b)* oraz życiorysy Stalina (łącznie z najciekawszą wersją – dla dzieci), które ciekawie zinterpretował Krzysztof Obrembski, odnajdując przekonujące paralele z Biblią i hagiografią. Polskie wizerunki Lenina omówił z kolei Wojciech Tomasiak, przedstawiając obowiązujące kanony ikonografii oraz wzorce opisu Wodza, pośród których dominowały portrety „poronińskie”, łączące symbolikę rewolucyjną z narodową oraz monumentalizmem górskiego pejzażu. Podobnych uwag zabrakło w odniesieniu do innych gatunków – na przykład o źródłach klasycznych czy pozytywistycznych socrealizmu, którego pasożytniczy eklektyzm skojarzyć można z praktyką postmodernizmu. Wyjątek stanowiły opisy nurtów ubocznych: instrumentalizowanej przez ideologię satyry (Karol Alichnowicz) i nie akceptowanej diarystyki (Jerzemu Madejskiemu za przykład posłużył tu dziennik W. Kubackiego). Problematyka prozy fabularnej koncentrowała się natomiast wokół zaledwie paru wybranych motywów: „wroga klasowego” (Jerzy Smulski), przemian inteligenta w „fachowca” (Monika Brzostowicz) i znaczącego zestawu lektur u powieściowych bohaterów (Magdalena Piekara).

Zapewne dobrze się stało, że pola refleksji nie zawężaliśmy ani do samego Zjazdu, ani nawet do socu, gdyż zestaw zaproponowanych wystąpień ukształtował wręcz odwrócone proporcje tematyczne: to, co założyłem jako margines, rozrosło się w najobszerniejszy zespół problemów; „konteksty” rozpleniły się w takim stopniu, że doprowadziły do zaniku centrum. Dwa referaty omawiały spotkania Różewicza z socem: (Andrzej Skrendo, Robert Cieślak), dwa – rozwiedzioną z socem twórczość Igora Newerlego (Elżbieta Konończuk, Jacek Gałuszka), jeden – Tyrmanda (Inga Iwasów), jeden – M. Jastruna (Tadeusz Grabowski); w zestawie tym znalazła się ponadto sylwetka zapomnianego Czesława Straszewicza (Barbara Gutkowska). Zjawiska te, w różnym stopniu przez doktrynę tolerowane, mieszczą się w „szarych strefach” socrealizmu, choć to określenie zostało przyjęte głównie na użytek opisu prozy Buczkowskiego (Jerzy Kazimierski). Są tu, obok głosów niepodległych czy broniących ograniczonej autonomii, także i takie, które można określić jako potencjalne akcesy do socu, zjawiska spóźnione czy niezależnie antycypujące ten kierunek – jak w przypadku *Kwiatów polskich*.

Analizy dzieł z kręgu niewątpliwych produktów doktryny stanowiły wąski margines; nie było osobnej prezentacji łatwego do wyśmiania hard-socu, czyli poetyki socrealistycznej w jej postaci esencjalnej, a taka twórczość pojawiała się zaledwie w tle, jako punkt odniesienia dla przedsięwzięć autorskich i politycznych znacznie bardziej wyrafinowanych, przede wszystkim rozmaitych taktycznych kompromisów i adaptacji, pośród których nie brakło jednak i ambitnych eksperymentów łączenia ognia z wodą. Dwa wystąpienia dotyczyły metod karkołomnego anektowania przez doktrynę tradycji: rodzimego romantyzmu (Danuta Dąbrowska) oraz poezji Walta Whitmana, będącej bardzo wyrazistym przykładem manipulacji dokonanej na etapie przekładu (Marta Skwara).

## Przechadzki

Pomyślałem nawet, że adekwatniej zabrzmiałby inny tytuł konferencji: *Literatura i polityka w o b e c socrealizmu*, gdyż najciekawsze zjawiska tamtego okresu to przecież nie realizacje „stuprocentowe”, całkowicie uległe wobec presji doktryny, ale próby jej omińnięcia, wchłonięcia, niekiedy nawet bliskie polemiki i parodii.

Podczas mnożenia przykładów poszczególnych rozwiązań autorskich, usytuowanych peryferycznie wobec narzuconego modelu pisarstwa, narastało wrażenie, że soc wymyka się historycznoliterackiej empirii, stając się punktem odniesienia czysto teoretycznym, postulatem nigdy nie ucieleśnionym – i nawet jeśli znajdował jakąś skąpą egzemplifikację pośród tekstów literackich, to nie zdążył się zakorzenić w świadomości czytelnika. Powrócił więc zgłoszony przed laty przez Andrzeja Stoffa problem „nie rozciętych stronic” w zachowanych egzemplarzach książek z tamtego czasu i pytanie o ówczesny odbiór socu – z hipotezą o jego ograniczonej perlokucji, czy nawet – perswazyjnej nieskuteczności.

Trafnie zaplanowany na koniec konferencji referat Zofii Pomirskiej, analizujący tematy lekcji polskiego w dziennikach szkolnych, tych wątpliwości wprawdzie nie rozstrzygnął, ale otworzył perspektywę następnej hipotezy: może właśnie szkoła była jedynym ośrodkiem, gdzie socrealizm zakorzenił się skutecznie, gdyż zasięg recepcji jego sztandarowych dzieł wyznaczała lektura przymusowo „zorganizowana”. Tu zarazem przetrwał znacznie dłużej niż Plan Sześcioletni, znajdując kontynuację w szkolnych wypisach i lekturach; najpierw w epoce Gomułkowskiej, gdy wprawdzie zniknął Stalin i Bierut, ale na długo pozostała Nowa Huta i PKiN, rewolucja i Pierwszy Maja; potem – w bardziej wysublimowanym Gierkowskim neo-socu. Echa czkawki po rzekomo martwych wzorcach rozlegały się przecież jeszcze do końca lat osiemdziesiątych.

Koncepcja socrealizmu zamkniętego w rezerwacie klasy lekcyjnej osłabia wiarę historyka literatury w sens badania widma, które, być może, jako „literatura” – we właściwym jej obiegu czytelnicznym – nie zaistniało nigdy i straszło jedynie w oficjalnym rytuale. Zjazdu prawie nie było, czystego socu znajdujemy „w przyrodzie” stosunkowo mało (prócz samej doktryny), a więc wszystko się składa na niewiele znaczący epizod pozaliteracki, koniunkturalną maskaradę, omyłkę, potknięcie, przejściową zapaść, niefortunny przerywnik czy zbędną retardację w dostojnych dziejach sztuki słowa.